

Z I E M I A

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA KRAJOZNAWCZEGO
 DWUTYGODNIK KRAJOZNAWCZY ILUSTROWANY
 POLECONY PRZEZ MINISTERSTWO W. R. I O. P.

KAZIMIERA ZAWISTOWICZ.

Z WĘDRÓWKI PO POŁUDNIOWO-ZACHODNICH KRAJACH PODKARPACKICH.

II. SPISZ, LIPTÓW i SŁOWACCZYŻNA ZACHODNIA.

Z Koszyc prowadzi nas program wycieczkowy na Spisz i Liptów. Jedziemy malowniczą doliną Hornadu, witając o zachodzie słońca Tatry. Mijamy Spiską Nową Wieś i dojeżdżamy do Popradu.

Nazajutrz wczesnym, pogodnym rankiem udajemy się do Wielkiej (Velká) koło Popradu. Mijamy typowo słowacką wieś, ulicówkę, o domach, z łamanymi dachami i drewnianymi dymnikami i rynnami. Wszędzie pełno kwiatów.

Muzeum Tatrzańskie (Tatranské museum) w Wielkiej obejmuje działy następujące: przyrodniczy (mineralogja, botanika, zoologja), etnograficzny i archeologiczny. W skromnym zbiorze archeologicznym reprezentowany jest neolit, epoka brązu, zabytki celtyckie, lateńskie i słowiańskie kabłą-

zki skroniowe z zawieszkami brązowymi i paciorkami.

W dziale etnograficznym na uwagę zasługuje urządzenie dwóch izb góralskich.

Popołudniu wracamy do Popradu i udajemy się do Muzeum Karpackiego (Muzeum Karpatské), które zawiera dziś jedynie smutne resztki dawnych zbiorów, wywiezionych w roku 1917 do Budapesztu.

W dziale archeologicznym przeważa tu ceramika tak w okazach dobrze zachowanych, jak i w licznych ułamkach, skupionych bez-

ładnie i ciasno. Jest więc ceramika neolityczna wstęgowa i jej węgierskie odmiany, oraz siekierki w kształcie kopyta szewckiego (b. małe). Poza działem archeologicznym jest tu nieco nowszej ludowej ceramiki i pamiątek historycznych i wre-



Ryc. 45.

Orawa, Hruština. Typowa wieś słowacka. Fot. K. Plicka.



Ryc. 46. Novohradské Vrchy. Oracz ze wsi Madačka. Fot. K. Plička.

szcie parę strojów węgiersko-saskich. Tegoż dnia jedziemy na krótki odpoczynek po pracy muzealnej nad Szczyrbskie jezioro. Droga biegnie wzdłuż wspaniałej doliny Liptowskiej. Późno popołudniu dojeżdżamy do stacji kolejowej Štrba, skąd pieszo idziemy w górę do jeziora. Wszystko się wokół złoci ostatnimi promieniami słońca, a w mroku wieczornym i las i góry zdają nabierać fantastycznych kształtów. Pniemy się wciąż pod górę i już późną nocą dochodzimy do jeziora, którego ciemna tafla odbija srebrzystych gwiazd krocie. Cała przestrzeń wokół nas zdaje się być zamknięta ciemnym sklepieniem i mieniącą się taflą wody; skuta srebrzystymi ćwiekami gwiazd, a od reszty świata odgradzone gotyckimi sylwetkami smreków i potężnymi zwalami gór. Jakby błogosławiony, nieznanym światu, zakątek ciszy i zadumy.

Słoneczny ranek płoszy złudzenia. Piękne jezioro srebrzy się w słońcu migotliwie, smarki chronią je przytulnie, gór szczyty srogie na warcie stoją, jak wczoraj, jak przed wielu laty, lecz przysło złudzenie, iż jest to zakątek zapomnienia i ciszy: na morenowych zboczach wznoszą się ohydne budynki hotelowe, krzyczą wszędy tabliczki z napisami i zakazami, małe sklepiki sprzedają tandeciarskie „pamiątki z podróży”.

Rano wyjeżdżamy już w dalszą drogę przez Św. Mikulasz do Rużomberku (Rużomberok).

Po lewej stronie mamy Niżnie Tatry, po prawej zachodnie łańcuchy Wysokich Tatr.

Z Rużomberka udajemy się prosto z dworca do Liptowskiego Muzeum (Liptovské museum). Muzeum mieści się w małym domku przy kościele. Stłoczonych tu jest przeszło 20 tysięcy okazów, których oglądanie jest niesłychanie męczącym, wskutek przeładowania i ciasnoty.

Inicjatywę do założenia tego muzeum dało towarzystwo muzealne, powstałe w r. 1911 (Liptovská muzéálna spoločnosť w Rużomberku), zawiązkiem zaś stały się prywatne zbiory J. Kürti-

ego, obecnego kustosa i jego brata Artura. Zbiory te otrzymały nazwę „Sbierok bratov Kürtich”. W r. 1912 muzeum stało się już faktem dokonanym. I nadal jego najgorliwszym zbieraczem był lekarz Dr. Artur Kürti, który zasilał muzeum i własną pracą i coraz nowymi okazami.

W r. 1921 muzeum zostało przekazane miastu Rużomberkowi. Obecnie posiada ono dział przyrodniczy, historyczny, etnograficzny i archeologiczny, numizmatyczny, następnie zbiór map i fotografii oraz bibliotekę. Najbogaciej reprezentowana jest etnografia Liptowa, są tu pamiątki Janosikowe, liczne czerpaki zoomorficzne i inne przedmioty drewniane, ładny komplet spinek góralskich, oraz ceramiki. W dziale archeologicznym uwagę zwracają piękne miecze brązowe, oraz skarb brązowy z Liptowa.

Mówiąc o Rużomberku nie można nie wspomnieć o śladach polskośći, związanych z nim. Oto koło Rużomberku znajduje się zamek Likawski, który był niegdyś (w. XV) w rękach polskich (Komorowskich). Na południe od Rużomberku przy drodze do Korytnicy leży pięć wsi polskich: Rewuca Górna, Średnia i Dolna, Łużna i Osada. Osady te w 60-tych latach ubiegłego stulecia czeski uczoney Šembera zalicza do polskich, dziś są one częściowo zesłowaczone, zachowały jednak wszystkie wspólny strój b. charaktery-

styczny, który to strój spotyka się niekiedy i w Rużomberku.

Niewiasty noszą na głowie czepiec, pięknie wełną haftowany, na czepcu zaś wielką chustę (zwie się „handra”). Dziewczęta w domu i kościele mają spuszczone warkocz z licznymi wstążkami, chustek nie noszą, nawet w zimie chodzą przeważnie z gołą głową. Na koszulę wkładają „oplecko” — rodzaj bluzki, sięgającej do pasa z pięknie wyszytymi poniżej ramion rękawami, ściągniętymi w kiści i zakończonymi wyszytymi ząbkami. Na „oplecko” wkłada się „kabotek”—gorsecik, odświętny bywa pięknie przybrany galonikami. Do „kabotka” przszyty jest „fartuch”, t. j. spódnica z białego „lenowego” płótna, na to zaś wkłada się „sate”, t. j. fartuch czarny w białe kwiaty. Wysoko powyżej pasa przewiązują się szerokim pasem czerwonym (cieniowanym), na żałobę zaś noszą pasy zielone i „oplecki” haftowane zielono. Na nogach noszą wełniane „pońcochy”, na nich wysokie buty, w zimie zaś sukienne „kapce”, rzadziej „kырce” z owijkami. Zimowy strój uzupełnia brunatna sukienka „cuha”, sięgająca do kolan, z szerokimi rękawami; u dołu znajdują się „spary” na ręce (kieszenie), lamowane zielono, czerwono i żółto.

Strój męski składa się z lnianej koszuli, wpuszczonej w takież spodnie. Odświętne koszule mają szerokie rękawy. Na koszulę wkładają serdak — „bruszlak” — sukienki białe, haftowane dookoła czerwono i zielono. Strój uzupełnia niekiedy „kabot” z lnianego płótna i szerokie płócienne „rajtornie” (spodnie) lub „góralskie” sukienne spodnie. „Kłobuki” (kapelusze) czarne sukienne z szerokim rondem i zieloną wstążką. „Cuhy” takie same, jak kobiece. Na nogach „kырcie”, „ciżmy”, albo buty skórzane, lub wreszcie „kapce” sukienne białe i brunatne.

Opuszczając malowniczy Lipców, kierujemy się ku zachodniej części Słowaczyny.

Z Rużomberku prowadzi na-

sza droga do Turczańskiego św. Marcina (Turciański Sv. Martin) przez Królewiany (Kralovany), koło których u ujścia Orawy do Wagu obserwujemy urwiste wzniesienie, wyglądające na dawne grodzisko, na co zdają się także wskazywać nazwy okolicznych wzgórz „Hradiska”.

Tegoż dnia wieczorem dojeżdżamy do św. Marcina i śpieszymy poznać zewnątrznie to pełne uroku i wspomnień narodowych miasto słowackie. W pięknym kościółku starym trafiamy na nabożeństwo wieczorne. W mrocznej głębi małego, jakby wiejskiego kościoła wśród kwiatów żarzą się świece, pachną kadzidła i pod łukowe sklepienie bije rozlewna pieśń słowacka, modlitewnie uroczysta i rzewna. Obok kościółka biegną rzędy małych domków i przytulnych podwórek, ocienionych winem.

Z Turczańskim św. Marcinem kojarzy się najciszej historia ruchu narodowościowego Słowaków, a dzieje kulturalnych instytucji marcińskich, to tak piękna karta dziejów niepodległości słowackiej, że miastu temu poświęcić należy nieco więcej uwagi.

Sędziwy uczony słowacki, prof. Škultéty, przywiązuje wielką wagę w historii ruchu narodowościowego Słowaków do przedstawień lu-



Ryc. 47.

Trenczyn. Stroje dziewcząt.

Rys. J. Rosánówna.

dowych. Zapoczątkowane one zostały w latach trzydziestych ubiegłego stulecia i były pierwszym przebłyskiem uczuć patriotycznych.

Pomiędzy rokiem 1833 — 1844 w Marcinie odbyło się sześć takich przedstawień.

„Wiosna ludów” i tu żywym odbiła się echem. Lecz rewolucja 48 r. nie dała Słowakom pomyślniejszych zmian — Wiedeń coraz nowe stosował represje. Gdy w r. 1850 chciano wznowić w św. Marcinie teatr słowacki, przydzielono do miasta kompanję wojska i rozlokowano ją w szkole, w której miało się odbyć przedstawienie.

Przełomowym rokiem był rok 1859 — rok osłabienia wojskowej potęgi Austrii. W Marcinie znów rozpoczęły się przedstawienia, a z dochodów z nich pochodzących założono słowacką księgarnię. Pojawiają się też liczne czasopisma („Priateľ Školy a literatury”, „Concordia” i in.). Założone w r. 1861 „Peštbudinske Vedomosti” śmiało się dopominały o zgromadzenie narodowe słowackie. Wybór padł na św. Marcina i tu się odbyła pierwsza uroczystość zgromadzenia narodowego Słowaków (6 czerwca 1861 r.), a dzień ten do dziś jest powszechnie obchodzony. Uchwały, na niem powzięte, były śmiałe: „Ustavná vlast a v nej národná svoboda”. Skutki tego zgromadzenia przeszły wszelkie oczekiwania.

W r. 1863 zostało założone w św. Marcinie Towarzystwo Naukowe pod nazwą „Matica Slovenka”. Stworzenie takiej instytucji oddawna już nurtowało umysły narodowców słowackich, było ono serdeczną troską i Pawła J. Šafárika, założyciela „Maticy Srbska'iej”, pierwszej macierzy słowiańskiej. Po r. 1849 zabiegano w Wiedniu o założenie towarzystwa literackiego, lecz bezskutecznie. Tymczasem prywatni ofiarodawcy zaczęli składać datki na ten cel, a pierwsze zgromadzenie marciańskie powołało nawet zespół ludzi, polecając im założenie „Maticy”. I w tym wypadku na czoło wysunął się św. Marcin i znów zgromadził liczne tłumy, liczniejsze niż podczas pierwszego zgromadzenia. Założenie „Maticy” stało się uroczystością wszechsłowacką. Była to chwila tem więcej uroczysta, gdyż łączyła się z nią tysiącletnia rocznica chrztu Słowaków. Prezesem nowozałożonej instytucji wybrano biskupa Stefana Moysesa, znanego dia-

łacza słowackiego. Cesarz Franciszek Józef początkowo popierał założenie „Maticy”, a nawet zasilał ją pewnym funduszem, który zresztą po dwunastu latach został przez madziarskiego ministra skonfiskowany wraz z całym majątkiem „Maticy”. Początkowo jednak względy polityczne, kierujące nastrojami w Wiedniu, sprzyjały sprawie „Maticy”. Interesował się nią nadto cały świat słowiański, a wśród członków założycieli figurowali dostojnicy chorwaccy i rosyjscy. Lecz oto, gdy w roku 1866 Austrija przekazała władzy Madziarów całą Słowaczczyznę, przyszyły dla niej ciężkie czasy. Z roku na rok twarda pięść madziarska gnębiła mocniej wszelkie poczynanie narodowościowe Słowaków. Aż wreszcie, po dwunastu latach istnienia „Matica” została zamknięta, gmach jej przekazany na urzędy, a gimnazja i szkoły też istnieć przestały. W ciągu czterech lat nie było nawet tradycyjnych dorocznych zgromadzeń. Lecz powoli odprężała się siła narodowa. W r. 1887 została otwarta wystawa strojów i haftów słowackich, a w r. 1890 uroczystie otwarto „Národný Dom” i założono towarzystwo muzealne, które na przyszłość objęło ster zgromadzeń dorocznych. Współczesne opisy mówią o udziale Polaków w tych uroczystościach słowackich.

Wkrótce też w „Národnym Domu” zostało otwarte muzeum, którego zawiązką były prywatne zbiory A. Kmet'a, oraz Maticy Slovenskiej. I choć madziarzy ostre nieraz stosowali represje, choć szkoły dławili przemocą poczucie narodowościowe, walka stawała coraz bardziej nierówna na niekorzyść madziarów: przeciwko nim rozplomieniał się ogień głębokiego patriotyzmu, podsycany przez cały naród i pielęgnowany przezeń, jak największy skarb. Miejscem, gdzie płonął ten święty ogień był Turczański św. Marcin, który rok rocznie na swych zgromadzeniach serdecznym porywem serc naprawiał i koił wszystkie krzywdy, doznane przez długi rok w madziarskiej szkole.

Dziś św. Marcin przoduje, jak przed laty, twórczej pracy słowaków. Dziś „Matica Slovenska” posiada piękny, obszerny, według najnowszych wymogów zbudowany własny gmach, wzniesiony wyłącznie ofiarnością społeczną.

Piękna biblioteka, nowożytnie urządzona, zawiera 120 tys. tomów cennych dzieł i materiałów. Wydawnictwa „Maticy” odznaczają się starannością i umiejętnym doбором opracowywanych materiałów. Niesłychanie cenne dla etnografa są piękne serje zdjęć fotograficznych: typów ludowych, strojów, budownictwa i innych osobliwości ludoznawczych.

Bogate muzeum posiada działy: przyrodniczy, geologiczny, archeologiczny, etnograficzny, oraz dział pamiątek narodowych. Posiada ono nadto zbiór cennych rękopisów (4.500 egz.), oraz starych dokumentów.

Obecnie najbogaciej reprezentowana jest w muzeum etnografia. Na czoło wysuwa się zbiór strojów, bardzo bogatych, różnorodnych i wprost precyzyjnych w wykonaniu. Godna uwagi jest kolekcja czepców i weselnych strojów głowy, t. zw. „parta”. Wśród męskich strojów podziwialiśmy wspaniałe szerokie pasy skórzane, pięknie inkrustowane i dostosowane do ich szerokości koszule, a raczej rękawy na krótkim jakby staniczku. Niesłychana różnorodność panuje w „klobukach” (kapeluszach) męskich. Bogaty także jest dział wyrobów drewnianych: całe serje czepaków zoomorficznych, form do serów owczych, „oscepków”, kijanek, łyżników, wrzecion, deseczek do kądzieli i różnych statków domowych. Ciekawe i starannie wykonane są modele budownictwa miejscowego. Na uwagę zasługują też instrumenty muzyczne: dudy, fujarki, gajdy. Niewielki, ale cenny jest zbiór przedmiotów ceramicznych, kraszanek i wreszcie obrazków na szkle, religijnych i wyobrażających Janosika.

Zbiory archeologiczne posiadają liczne okazy ceramiki wstęgowej i lengyelskiej, następnie łużyckiej i późno-halsztackiej, przypominającej urny twarzowe i wreszcie grodziskowej. Bogate są przedmioty brązowe (wśród nich kilka toporków miedzianych), oraz halsztackie i lateńskie.

Kilkogodzinna praca w muzeum zakończyła nasz pobyt w Marcinie, który nam pozostawił wrażenie niesłychanie miłego, a zasobnego w życie duchowe, miasta. Promieniuje z niego na cały kraj żywy, niesłabnący zapał do mrówczej pracy na polu kulturalnym, stwarzający ze św. Marcina cichą, sprzyjającą pracy umysłowej siedzibę uniwersytecką, której duchowi przedstawiciele świadomie dążą, by, wierna

swym pięknym tradycjom, pozostała i nadal kulturalną stolicą narodu słowackiego.

Następnym etapem naszej wycieczki ma być Bratislava, lecz decydujemy się na kilkogodzinny chociaż pobyt w uroczym Trenczynie (Trenčín). Z Marcina jedziemy przez Vrútki. Od Vrutek do Trenczyna jedziemy wzdłuż Białych Karpat doliną Wagu, którego malowniczy bieg coraz nowe wzrokowi sprawia niespodzianki. Strome skały nadbrzeżne często są uwieńczone przyczepionymi do nich zameczkami. Do Trenczyna dojeżdżamy już późnym wieczorem. Prosto z dworca prowadzi nas ku miastu stara aleja parku z za którego drzew wyłaniają się na stromej, niedostępnej stąd skale potężne ruiny zamku. Zamek ten zwiedzamy nazajutrz wczesnym rankiem. Od strony miasta jest wjazd ku niemu, wiodący wzdłuż łagodnego zbocza. Mur obronny, zbiega aż ku centrum miasta, okalając kościół. Z jednej strony chroni go Wag, z drugiej głęboka fosa, do dziś dobrze zachowana. Dobrze też zachowane są baszty i niektóre gotyckie okna, oraz renesansowe piękne oddzwia.

Wychodzimy z zamku przez obszerną bramę wjazdową. Otacza nas zewsząd świąteczny radosny nastrój. Jest to bowiem oktawa Bożego Ciała i od rana śpieszą pięknie postrojone tłumy na uroczystą procesję. Schodzimy ku rynkowi galerią krytych schodów, spotykając po drodze nieprzebrane mnóstwo różnorodnych strojów. Na rynku wznosi się gotycki kościół z XIV w. Przychodzimy w sam czas. Ze wszystkich uliczek napływają procesje. W całej procesji panuje wielki ład: idą całe rzędy w jednakowy strój przybranych dziewcząt, potem znów w strój inny, potem chłopcy jednolicie ubrani i znowu inne stroje. Idą więc dziewczęta w króciutkich plisowanych barwnych spódniczkach, w koszulach z bufiastymi rękawami do łokcia, wyszytymi poniżej ramienia, idą całe w bieli w małych czepcach z mnóstwem wstążek, przyczepionych z tyłu głowy, idą w ciemnych spódnicach dzwono-watych, przepasanych wielokrotnie barwnymi krajkami. Chłopcy w białych góralskich spódnicach do długich butów, w lnianych koszulach z bufiastymi rękawami, w ręku niosą małe kapelusze, zdobne w różnobarwne pióra.

Z zalem opuszczamy w południe Trenczyn, by po paru godzinach stanąć już w Bratislavie.

W Bratislavie niedzielne popołudnie poświęcamy na powierzchniowe zwiedzenie miasta. Stary gród naddunajski burzliwe przechodził dzieje.

Data założenia Bratislavy nie jest historycznie dostatecznie stwierdzona. Prawdopodobnie istniała ona już jako ożywiona osada rzymska, znana była za czasów księstwa Wielkomorawskiego, w r. 907 zawojowali ją Madziary, a następnie otrzymało ono miano Brecisburg, które ustąpiło potem miejsca węgierskiej nazwie „Pożoń” i niemieckiej Pressburg i dopiero po wojnie światowej została oficjalnie wskrzeszona, jako stolica Słowaczyny.

Przez nowożytną część miasta schludną, ożywioną ruchem budowlanym, udajemy się na stare miasto. Po drodze mijamy piękne domy renesansowe i barokowe, podziwiamy ratusz, o którym istnieje pierwsza wzmianka kronikarska z r. 1370. Wewnątrz w ratuszu znajduje się bogate muzeum historyczne i archiwum (jeden z najcenniejszych zbiorów aktów dawnych Węgier). Miło mi jest w tym miejscu wspomnieć, że nowa Bratislava posiada dwie ulice, związane z polskimi wielkimi ludźmi: ul. Mickiewicza i Sienkiewicza.

Ze starego miasta niewiele pozostało. Ciasne, wąskie uliczki z rzędami małych domków prowadzą po schodkach ku wzniesieniu, na którym stoi zamek. Domki ozdobione są bal-

konikami pełnymi kwiatów, zwisających także z otwartych małych okien. Do zamku prowadzi piękna brama. Zaczęto ją budować w 1441 r., lecz przebudowano i przyozdobiono za Macieja Korwina. Zamek, wielokrotnie przebudowywany, niewiele zachował archaicznego wyglądu, aczkolwiek kojarzą się z nim tradycje księstwa Wielkomorawskiego. Z obecnego zamku najstarsza jest wieża południowo zachodnia, z pożaru 1811 r. najlepiej się zachowały ruiny przebudowy z czasów Marji Teresy. Z podwórza zamkowego roztacza się rozległy widok na miasto i dalej na Węgry i pograniczne wzgórza austriackie, a na przeciwnym wybrzeżu Dunaju rozłożyła się Petržalka wśród zieleni ładnego parku i małych ogródków.

Nazajutrz od rana zabieramy się do pracy muzealnej. Społeczność Vlastivedného muzea sloveňského w Bratislavie ma piękne zbiory archeologiczne, będące obecnie w trakcie przenosin do wspaniałego, niewykończonego jeszcze gmachu muzeum Rolniczego na brzegu Dunaju, gdzie mają być pięknie rozlokowane do czasu zdobycia własnego lokalu. Dzięki zacnej, niezrównanej dobroci prof. J. Eisnera zbiory te zostały nam udostępnione, aczkolwiek znajdowały się w pakach. Prof. Eisner, niestrudzony badacz pradziejów tych ziem, z całą gotowością obdarzał nas swymi uwagami, wskazówkami, a nawet pokazywał nam swe ostatnie wykopaliska, nieopublikowane jeszcze i pozwalał z nich korzystać. Jest to jeden z tych nielicznych, a naśladowania godnych uczonych, którzy z całą prostotą i pełną świadomością swego zadania, zdobywcze swe na polu naukowem uważają za własność nie tylko swoją i swego kraju, lecz i całego świata naukowego i szczerze się cieszą, gdy ktoś inny czerpie korzyści z ich pracy. Toteż głęboko wdzięczni jesteśmy prof. Eisnerowi za pokazany nam materiał, tem wdzięczniejsi, że każdy przedmiot trzeba było żmudnie i cierpliwie wyjmować ze skrzyń i rozwijać z opakowania.



Ryc. 48.

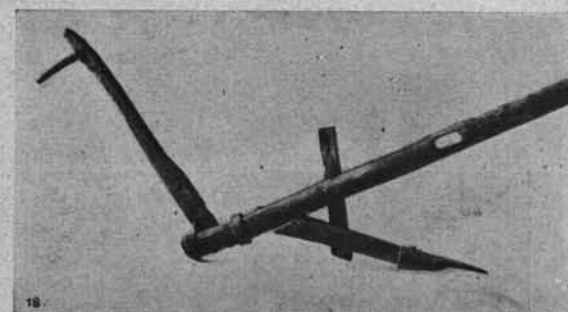
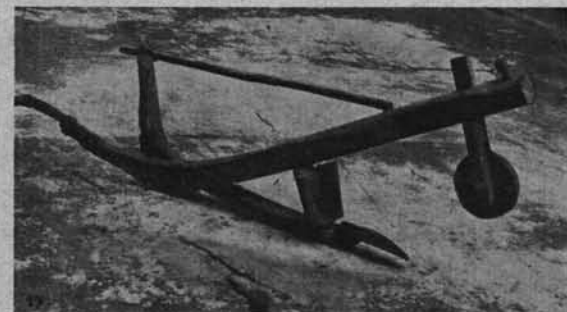
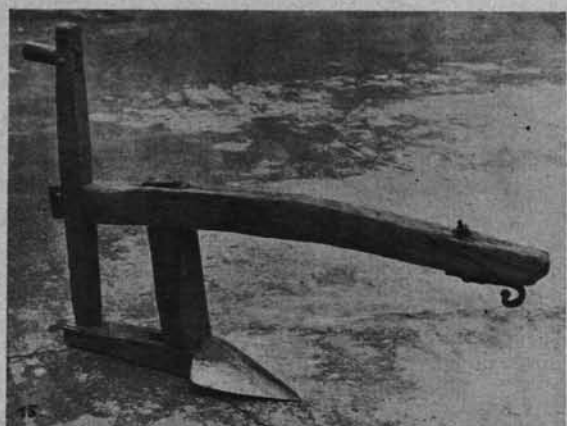
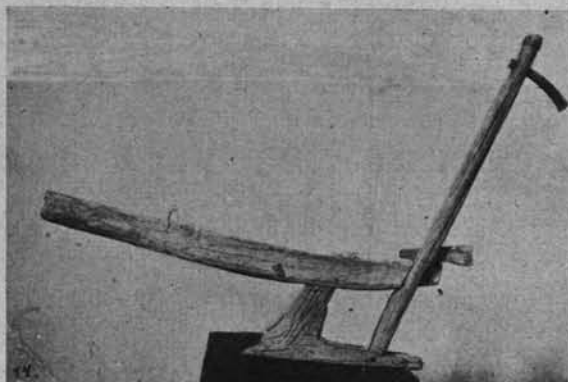
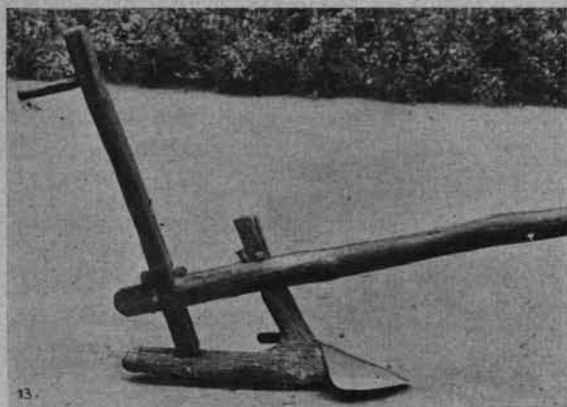
Trenczyn.

Rys. J. Rosanówna.

Fragment z procesji w oktawie Bożego Ciała.

ARCHIWUM ETNOGRAFICZNE.

POD REDAKCJĄ PROF. DR. E. FRANKOWSKIEGO.



Ryc. 49.

RADŁA: 13 — Odrowąż, pow. konecki. 14 — pow. mławski. 15 — Wrzelów, pow. puławski. 16 — Roszkowa Wola, pow. rawski, 17 — pow. Wysokie Mazowieckie. 18 — Horodok, pow. rówieński.

Fot. E. Frankowski 1926 r. Muzeum W. S. G. W.

Z OPOWIADAŃ I PRZEŻYĆ BARTUSIA OBROCHTY.

1. „WYDAWCA I REDAKTOR”.

Kiedy w 1918 roku objąłem redakcję ludowej „Gazety Podhalańskiej” w Nowym Targu, Bartuś zaraz przy najbliższym spotkaniu wyraził mi głębokie ubolewanie i serdecznie mnie żałował.

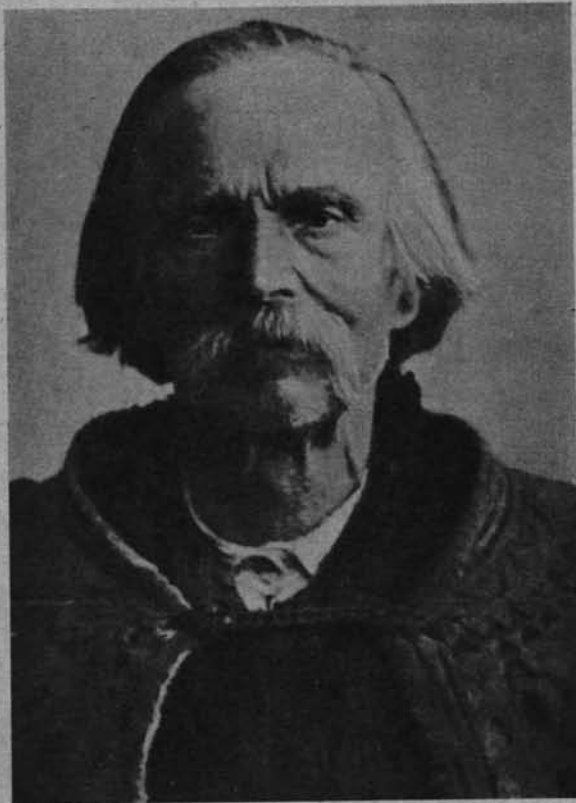
— Jo przecie wiem, co to za robota. Dyj to ino kłopot takie redakcyjne. Jo ta z tém narobił, niby z gazetom, to mi nie nowina.

Pierwszy raz coś takiego słyszę! Bartuś był redaktorem! Nie zajmowałem się jeszcze wówczas dziejami regionalnej prasy na Podhalu. Wyznanie Bartka było wprost rewelacją.

Co prawda bliższe wyjaśnienia w innym nieco świetle przedstawiły „dziennikarską” działalność Barteczka. Ale ostatecznie fakt faktem: wydawcą i redaktorem de nomine był w istocie.

Obrochta odwiedzał mnie w tych czasach bardzo często. Przyjeżdżał z Zakopanego ze

skrzypcami i wygrywał bogaty repertuar staroświeckich melodyj. Raz ot tak, mnie i sobie na uciechę, to znów do fonografu, który nazywał „niegłupiom trombom” i dla którego miał pełny respekt. To na kilka godzin wpaadał, to na cały dzień, to znów i na dwie doby obóz wędrowny rozbijał. Wiadomo, „muzyka”, człowiek ślebodny, a choć tam baba poza uszy trajkotała i seredziła, to przecież Barteczek raz wraz z chałupy znikał i puszczał się w rozkoszną i beztroską włóczęgę. W tych to latach miewał punkt oparcia u innego ślebodnego człowieka, który redagował gazetę. Grywał i opowiadał. Z ożywieniem, nieporównanym humorem, bystrą i wyrazistą obserwacją szczegółów, z pogodną ironją, a tak „wartko” i z takim przejęciem, że o notowaniu jego wspomnień i przeżyć niemal mowy nie było. Ja, który tylekroć Bartka gościłem i tyle się nasłuchiłem jego opowiadań, mam zaledwie kilka zapisek w zbiorze podhalańskich tekstów, dosyć pokaznym. Niepodobna było spisywać. Bywały niektóre opowieści istnemi cackami, zwłaszcza gdy nieporównany opowiadacz rozgadał się na dobre i z zamięłowaniem i pasją sam bawił się ożywieniem własnej przeszłości. Trzeba go było wtedy słyszeć! To nie ten sam Bartek, który wysiaduje na ławce przy Krupówkach, który wita się układnie ze znajomymi i rozmawia gwara fijkaków zakopiańskich. Dajcie mu myślami wrócić w dawniejsze czasy i dajcie mu się wypowiedzieć! Stopniowo znika ta mieszanina językowa, ten bigos podmiejskiego języka z niedobitkami gwary; rozbrzmiewa klasyczny dialekt góralski, przybaczają się stare słownikowe zasoby i zdumiewa świetna technika stylistyki, żywość obrazów i porównań, — powiedzmy — homeryckość. Bo w opowiadaniu Bartuś jest taki sam, jak i w muzykowaniu. Zagra na pokaz i na popis po staroświecku, zagra na wezwanie to „wiérchową”, to „Gadejową”. Ale to nie to, co jego graniu taki „hyr” jednało. Dajcie mu się rozegrać, dajcie wpaść w twórczy trans i zasłuchanie w nutę starodawnej pieśni! To jest właśnie Bartuś! Wirtuoz, porywający rozpląkanemi tonami nie-



Ryc. 50. Bartuś Obrochta. Fot. H. Schapenbeck. Słynny skrzypek zakopiański, ur. 16.VIII 1850, zm. 1.V 1926.

skończonych warjacji, improwizator o silnej indywidualności, wkorzenionej w te czasy, które na Podhalu minęły bezpowrotnie.

A Bartek ma co opowiadać i tematu mu nie zbraknie. Kogo on nie znał! Chałubiński, Stolarczyk, Sabała, Witkiewicz, Dembowscy, Sienkiewicz, Prus, Modrzejewska, Paderewski, kilka generacji przewodników, wielkości taternickie, polityczne, naukowe, artystyczne, literackie... Setki nazwisk i setki znajomych z całej Polski. W ostatnich latach życia Paryż i całe „pogotowie ratunkowe” dawnej góralskiej muzyki: Szymanowski, Iwaszkiewicz, Chybiński, Rytardowie, Mierczyński, no—i mój fonograf. Pamięć ma świetną i żywą. I ta żywość swoiście ujęta tworzy całą wartość tych opowiadań.

A z redaktorstwem Bartka było tak.

W 1894 r. znany podróżnik, zajmujący się orientalistyką, Jan Grzegorzewski, rozpoczął wydawanie czasopisma „Goniec Tatrzański”. Było to trzecie z rzędu periodyczne wydawnictwo zakopiańskie, a miało się ukazywać w podwójnej postaci: jeden numer dla inteligencji, drugi dla tubylczej góralskiej ludności. Jakoż wyszły te dwa numery. Ale kieszeń Grzegorzewskiego nie mogła podołać kosztom nakładu, więc skończyła się na nich cała impreza, zapoczątkowana wcale dobrze i pożytecznie. A że przepisy ówczesne wymagały, aby pismo drukiem podawało oprócz odpowiedzialnego redaktora także i wydawcę,—że pismo w połowie miało iść w góralskie chałupy, przeto założyciel uprosił Bartka, aby dał swoje nazwisko jako firmę wydawniczą. Bartuś się zgodził.— „Wydawca: Bartłomiej Obrochta”—głoszą oba numery „Gońca”.

I tak Bartuś został „redaktorem”, moim starszym kolegą „po fachu”.

— To kłopot, panie prefesurze!

Ciekawa rzecz, jakie to redakcyjne troski miewał „redaktor” Bartuś?

Okazało się, że „kłopot” polegał przede wszystkim na konieczności paru wyjazdów do Nowego Targu z rodzinnymi Kościeliskimi i podpisaniu kilku podań o pozwolenie na wydawnictwo. Oczywiście wyjazdów w stałym towarzystwie Grzegorzewskiego.

Ano, istotnie „kłopot”! Zawszeć to sądu, starostwa i urzędu podatkowego lepiej unikać.

Ale nie na tem koniec redaktorskich utrapień.

— Bo i to jeszcze, że się boł, czy mnie ta kie nie zamknom w hereście, bo jo ta przecie nie wiedziol, co taki światowiec¹⁾ będzie pi-soł i cy ta nie bedom na niego krzywi w starostwie. Ale mnie pon Grzegorzowski upytol²⁾, a jo mu obiecol, no to se myślolek: niekze ta; co będzie, to będzie. Ale nie beł nic, ino te piśmoki³⁾ w starostwie. Powiadi mi wtej starosta i pon Grzegorzowski: nie bójcie sie, Bartłomiej, bo to nie weksel, ino podanie. Jo sie tego nie boł, bo skondze! Telo ino, ze nie wiedziol, co on tam będzie opisować. Bo to beł taki światowiec tén Grzegorzowski i na miejscu nie usiedziol długo. Ale beł fajny człowiek i dobry pon. Jo w hałupie mom tego „Gońca”, oba numera: lo pa-nów i lo norodu góralskiego. Po śmierci to se pon prefesur zabiere, ale teraz nie dom, bo to przecie pamiątka, ze jo tyz beł redaktur. To strasny kłopot!

Były to jeszcze czasy austriackie, wojenne, w których gazeta przed wydrukowaniem wędrowała do skrupulatnych c. k. cenzorów w starostwie. O tej cenzurze jeszcze kiedyś chyba ciepłe wspomnienia napiszę, choć najgorszą pod koniec austriackiego wladztwa wcale nie była. Znacznie ciekawiej układał się do niej stosunek mojego poprzednika-redaktora ś. p. Tomasza Buły w latach 1914—1917. Ale mimo zelzenia w tępieniu swobodniejszej myśli za czasów mojego redaktorstwa, rychło nawiedził „Gazetę Podhalańską” — tyfus plamisty. Tak nazywaliśmy puste szpalty, skreślone przez cenzurę. Jeżeli się nie mylę, to owe białe plamy, ślady cenzorskiego ołówka, tyfusem pierwi nazwali górale z Białego Dunajca, skąd rodem był zmarły redaktor. Przyjęła się ta nomenklatura w naszym regionie i dotrwała aż do polskich czasów.

Bartuś dostawał każdy numer pisma gratis i franco. Należało się mu to homagium: i jako przyjacielowi i jako byłemu redaktorowi. Trafił na „plamę” i zatriumfował.

— Wiécie, wiécie! Mnie ta nigdy nie skreślili nic!—oświadczył z godnością.

— No ale wtej wojny nie beł — dodał łaskawiej po chwili, jakby chcąc załagodzić akcent wyższości.

2. WYCIECZKA Z BOLESŁAWEM PRUSEM⁴⁾.

Nie pamiętam, z jakiego powodu natknęliśmy w rozmowach z Bartkiem na Prusa.

— Prziėjoł roz do Zokopanego pon Głowacki, wiécie, co książki pisowoł, co go téz Prus wołali, bo sie Prus podpisowoł na książkak. Barz grzecny pon, ino juz nie do gór. Do książków to hej, ale nie do gór. Nie tak, wiécie, coby sie boł, ino nimioł nijakiego zdanio⁵⁾ do hodzénio, do styrmanio⁶⁾, ani, wiécie, natury, coby móg pojźréc w przepaśc. To juz som jest taci ludzie. Jo roz seł z jakimisi kapitane, co samučko taki bél. Boł sie poźréc dołu, a przecie bél wojskowy i bél hłop jak buk. Pomésłołek se: jakoz ty, cłece, na koniu jeździs, kie przecie lo tobie téz obdolno⁷⁾ ze siodła na ziem.

Z pane Pruse béło tak.

Mioł dwie fajne dubeltówki, nowiućkie, barz fajne flinciska. I zapozwoł mie ku sobie z Grónikoskim, co juz dzisiok nieboscik i godo:

— Hłopc! Kie mnie do Cornego Stawu poprowadzicie, dubeltówki wasel! Jedna tobie, drugo tobie!

Jo pedzioł Grónikoskiemu:

— Je kizby to béli, coby my tego panoska obidwa nie powiedli, ka fcel!

A wiedzieli my oba, ze ón jacy po równi hodzić, ba nie po turniak.

No i wzięni my sie iśc. Na Bocaniu to mu ta jesce sło: iśc to seł, ino nie barz wartko⁸⁾, ale to ta nic. Dobrze béło na Uplazie na Skupniowym. Dopiero na Karcemisku, wiécie, przed Królowom, jak nie pojźre dołu w Jaworzinke, tak sie zaroz hyciél skały i zakrél oci i nie pudzie i nie pudzie.

No coz mu zrobis? Przeeie go w tórbke nie wtrzepies⁹⁾ jak kota.

Wróciéli my du domu, ale dubeltówki jeździly po głowie.

— E! — méślem se — jo na tobie sposób nojńdem! Nie bójcie sie! Dydziek przewodnik, cobyk sie znoł na górak i na gościak. Z gościami to tak, jak z wozem. Nie zryktujes sytko jak sie patrzy, to ci skrzipi. Dyj jak mu wadzi Karcemisko skróny¹⁰⁾ tyk ospadlin, to mu ta bez las bez Olciska nieprociwne¹¹⁾ bedzie. Dyj i haniok dróga ku Cornemu, hoć ta po prowdzie dróga djabli pote.

No i powiedli my pana Prusa koło Pióra, wiécie, lasem. Bél téz rod! A my sie téz radowali, bo my przecie dubeltówki dostali piékne, co ik nom darowoł. No i wiécie, hónor nom bél, co my takiego sławnego cłowieka haniok zawiedli.

3. O PADEREWSKIM I SIENKIEWICZU¹²⁾.

Wojenne czasy. Vevey, komitet książęcobiskupi, akcja Sienkiewicza, Paderewskiego. W Polsce głośno o nich. A Bartuś ich znał osobiście. Nie przechwala się nigdy swojemi znajomościami, uważa je za rzecz całkiem zwyczajną. Ale jeżeli tylko trafi się sposobność, z przyjemnością „natyrknie cosi” o sławach, z któremi zetknął się na Podhalu. Niech ludzie wiedzą, z kim miał do czynienia.

— Padereskiego, co to teraz na Polaków zbiéro, jo znoł. Jo jemu groł, a ón se z tego pote nuty wyzdajoł¹³⁾ z tyk góralskich śpiówek. Ale ón ta wtej nie bél bogoc, jako dzisiok, ani telo hyru¹⁴⁾ o nim nie béło, jako teraz, co i w Amaryce je sławny. To jagek seł do niego grać, to mi Hałubiński pedzioł: „Bartku, ino ta nie bier duzo od pana Padereskiego. Jo to bedem płaciél to grane, bo ta koło niego biédno”.

Ale, wiécie, piéknieze téz groł, e piéknie! Cosi takiego ino w palcak mioł, co mu to sło, jako ino fciól. Kiela razi jek słysoł rozmaityk ludzi grać, ale sie mi sytko tak widzi, ze go mało który przebiere¹⁵⁾. Cosi juz w palcak mioł!

Z panem Sienkiewice jo rozmowioł. E, to strąśnie godny pon! Juz go telo góralski noród rod widzioł, a ón góroli téz. Ze Sabałom nieboscike urodzali¹⁶⁾ telo, co jaze nieboscikowe bojki ołóweckem spisował i telo im sie śmioł, ze sie Sabała u pani Demboskiej przekwalowoł: „E moiście wy! Jo panu Sienkiewiczowi bajoki do gazetów godoł”. Straśnie sie Sabała pysnił Modrzejeskom i Sienkiewice.

4. DYSPENZA KSIĘDZA STOLARCZYKA¹⁷⁾.

Chętnie wspominał Bartuś pierwszego zakopiańskiego proboszcza, który pobłażliwym okiem patrzył na cygańskie życie podhalańskiego wirtuoza.

— Jo roz, wiécie, groł na weselu w jadwieńcie¹⁸⁾. Na zidoskim weselu groł jek. Alek

nie zgrzeszył, bo jo miał pozwolenstwo ksiendzowe. Wiera ze tész: od samego ksiendza Stolarcika.

Wydawał Śtater Więcek córke i pytał mnie grać na weselu.

— Jakoz ci, zidu, beem groł, kie tu jadwient? Ty temu nie rozumiész, boś niekrzcony, ba lo mnie to grzyk. Zreštom kieś taki sparty¹⁹⁾ na moje granie, to idze se do jegomościcka i pytoj²⁰⁾, coby mi pozwolił, to ci zagrom.

A Śtater, jako to zwyczajnie zid, pado:

— Ny, wis ti go, Bartek, idź ti som. Tobie ón rod widzi, ti sie ś nim lepiej zgodos. Ny mos dwa papirki²¹⁾ ksiendzowi na kościół.

Wzionek ty papirki. Je cozbyk nimioł brać? I idem.

Jegomość mie rod widzioł, przywitoł sie i godo:

— Coz tam nowego, Bartku?

— E, nic ta takiego, jegomość, ino sie zidy zéniom u Śtatera, a teraz jadwient i póst.

A ón sie ino ósmioł i pado:

— Jo ta juz wiem, o co kces pytać. Grojze, groj! Bo to twoja robota, twój fakt²²⁾. Ino Śtaterowi powiédz, coby sićkie okna dobrze pozawiéroł. Niek postawi zida z nohajem przede dzwirzami, kie katolici bedom wracać z kościoła. A jak ftory przistanie słuhać na muzike, niek go zid nohajem posmaruje, coby se wiedzioł, ze je póst.

5. ŚWIĘTY POST I BARTKOWE GĘŚLIKI²³⁾.

Okrutnie się Bartek „ospajdził”²⁴⁾. Szedł sobie trochę przynapity i „kuraśny”²⁵⁾, no i grał rześiście zbójnickiego „marsia” na pu-

stej drodze, żeby się lepiej do domu trafił. Całkiem zapomniał, że to post. I spotkała go „przykrość” nielada, tak że musiał cały swój gniew wylać przed współczującym słuchaczem. Usta mu się nie zamykały ani na chwilę, a językiem „trzepał” jak kołowrotek.

— Abo i baby! Tercyjanki²⁶⁾ same! Sełek se kiesi ku Kościeliskom, gęśle jak zwyczajnie pod cuhom, no i spotkało mnie babsko obstorne²⁷⁾ i godo:

— Ej, Bartku, wy ta juz do nieba nie treficie, o ni!

— Jedy cemuz to tak, ciotko?

— Oj nie treficie, nie! Póst święty, a wy sytko ino ze skrzipcami. Dyj to bosko obraza.

— Je kiz ci djebli, babo! Cozby jo bez skrzipci wort bół? A wiész ty, babo głupio, co ja prendzėj do nieba z tymi gęślikami pudem, jako ty, co ino popróznicy²⁸⁾ zukwami mieles! Ty sie ino nie bój! Jo ta ś nimi dojdędem łocwiėj jako ty z tym pyske! Juz mi ta Poniezus zryktuje godne miejsce, mnie, Obroktowi! Ale! Wiécie jom, babe głupiom! Cisto pięknie mie nagniewała! Tagek jėj pedzioł!

¹⁾ obieżysas, wędrownik, człowiek zmieniający często miejsce pobytu; ²⁾ uprosił; ³⁾ urzędowe pisma; ⁴⁾ Opowiadanie zapisane w 1915 r. Prawdopodobnie rzecz działa się w 1889 r.; ⁵⁾ zdolności; ⁶⁾ do wspinaczki w górach; ⁷⁾ daleko; ⁸⁾ prędko; ⁹⁾ nie wrzucisz; ¹⁰⁾ z powodu; ¹¹⁾ przeciwne; ¹²⁾ Opowiadanie zapisane w 1916 r.; ¹³⁾ wykonał, wymyślił; ¹⁴⁾ sławy; ¹⁵⁾ przywyższy; ¹⁶⁾ rozmawiali; ¹⁷⁾ Opowiadanie zapisane w 1915 r.; ¹⁸⁾ adwent; ¹⁹⁾ kiedyś się tak uparł; ²⁰⁾ proś; ²¹⁾ guldeny; ²²⁾ fach, zajęcie. ²³⁾ Opowiadanie zapisane 6 marca 1915 r.; ²⁴⁾ zgniwał; ²⁵⁾ podpity, wesoly; ²⁶⁾ dewotki; ²⁷⁾ stare; ²⁸⁾ daremnie, niepotrzebnie, bez pożytku.

Zakopane, w grudniu 1928 r.

WACŁAW OLSZEWICZ.

LITWA KOWIENSKA W POLSKIEJ LITERATURZE NAUKOWEJ.

Długi jest szereg nazwisk tych polskich pisarzy, którzy zajmowali się krajoznawstwem dawnego W. Księstwa Litewskiego. Franciszek Gawętek, bibliograf ludoznawstwa, zebrał 482 tytuły w swej „Bibijografji ludoznawstwa litewskiego” (Wilno, 1914, odb. z V Rocznika Tow. Przyj. Nauk) a jeżeli wśród nich jest wyjątkowo kilka niepolskich, to sporo jest

polskich prac pominiętych. Po Czackim, który, pisząc „O litewskich i polskich prawach” (pierwsze wyd. 1800 — 1), dał istną encyklopedję Litwy, przyszli ks. Ksawery Bohusz, Kaz. Brodziński, Jan Czeczott, Chodźko Ignacy, Karol Brzozowski, Syrokomla, Ludwik z Poniewia (ks. L. Jucewicz), Kraszewski, Leon Potocki (Kamerton), Józef Jaroszewicz,

Ignacy Buszyński, Teodor Narbutt, bracia Łyszkiewiczowie, ks. A. Juszkiewicz, Ant. Mierzwiński, Karłowicz, Gloger, Brueckner, Krzywicki, Falko-Hryncewicz, Kibort, Brensztejn, Witort, Leon Wasilewski, Michał Roemer, Grużewski, W. Kamieniecki, J. Jakubowski, Edward Maliszewski, M. Świechowski. To część tylko autorów, piszących o tem terytorjum, które tworzy dziś państwo litewskie. Na krótko przed wojną na pewną syntezę złożyło się kilku autorów w pięknym zbiorowym dziele p. t. „Polska i Litwa w dziejowym stosunku” (1914). Wiele materiału krajoznawczego pomieszczały wydawnictwa periodyczne: „Kwartalnik Litewski”, wydawany przez Jana Obsta (przemianowany następnie na miesięcznik „Litwa i Ruś”), „Roczniki Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie” (od 1907 r.), „Ziemia” i t. d. Po wojnie uwaga nasza skoncentrowała się raczej na tych obszarach W. X. Litewskiego, które weszły w granice Rzpltej, a o ziemiach nowego państwa litewskiego pisanu u nas bardzo mało. Kilkakrotnie wypowiedział się Wład. Studnicki, publicysta, pesymistycznie zapatrując się na „Współczesne państwo litewskie i jego stosunek do Polaków” (1922). Ludwik Abramowicz wydał zbiór dokumentów, przedstawiających powstanie państwa litewskiego, p. t. „Litwa podczas wojny” (1918). Oddział II Sztabu Generalnego w fachowej pracy „Wojsko litewskie” pomieścił również doskonale opracowany zarys krajoznawczy i ustrojowy Litwy (1925). Leon Wasilewski wydał w r. 1925 drugie, uzupełnione wydanie swej cennej książki „Litwa i Białoruś. Zarys historyczno-polityczny stosunków narodowościowych”. Jako dalsze uzupełnienia tego dzieła służyć mogą od 1927 r. „Sprawy narodowościowe” organ Instytutu Badań Spraw Narodowościowych. Dopiero jednak t. zw. „Wilbi”, t. j. Wileńskie Biuro Informacyjne podjęło na wysoką skalę akcję zaznajamiania społeczeństwa naszego z życiem współczesnem Litwy Kowieńskiej i w tym celu wydaje pod nazwą „Biuletyn Kowieński” streszczenie całej, wychodzącej na Litwie prasy w rzeczowym układzie, ogromnie ułatwiającym studia.

„Wilbi” nie zadowolilo się tem pożytecznem wydawnictwem periodycznem (odbijanem w Wilnie na roneo) i przystąpiło do wydawnictw książkowych. W malutkiej 16-stronicowej broszurce z mapką dało „Najważniejsze dane o państwie litewskim” (lipiec, 1926); wobec zupełnego jej wyczerpania byłoby niezmiernie pożądane sporządzenie nowego wydania, doprowadzonego do końca roku 1928.

W „Materiałach do kwestji litewskiej” stworzyło „Wilbi” typ naukowych opracowań, a wydane dotychczas 4 tomy stanowią bardzo

cenny wkład do polskiej literatury o Litwie. Pierwszy tom (1924) był dziełem wybitnego regionalisty, prof. Witolda Staniewicza, obecnego Ministra Reform Rolnych. „Sprawa Kłajpedy” została tu treściwie, ale dokładnie przedstawiona, poczynając od Traktatu Wersalskiego, a kończąc uzasadnieniem polskich interesów w Kłajpedzie. W tomie drugim „Materiałów” (1925) przedstawił Wład. Wielhorski „Byt ludności polskiej w państwie litewskim w świetle dochodzeń jej praw przed Ligą Narodów”. W dwuarkuszowej przedmowie autor uzasadnia tę słuszną tezę, że Polska ma interes w krzepnięciu kulturalnem i politycznem narodu litewskiego i że jest nawet jedynem państwem w Europie, bezpośrednio w tem zainteresowanem. W zbiorze aktów znajdujemy m. in. tekst ustawy o reformie rolnej i szczegółowo umotywowane skargi polskiej mniejszości na Litwie, złożone Lidze Narodów, a poparte prawniczemi wywodami wybitnych teoretyków prawa międzynarodowego czterech obcych narodowości.

Tu znów możnaby wysunąć życzenie, by obecnie w cztery lata po wydaniu tego dzieła, „Wilbi” wydała jego dalszy ciąg, przedstawiający prawną obronę mniejszości polskiej przed działalnością, w najelementarniejsze prawa człowieka godzącą, pewnych elementów społeczeństwa litewskiego. Liczebność tej mniejszości polskiej dokładnie zobrazowała „Statystyka narodowościowa na podstawie danych głosowania do Sejmów” w opracowaniu Centr. Polskiego Komitetu Wyborczego (Kowno, 1926, 4, str. 14 i mapa), a nie może w niej nie uderzyć w oczy fakt, że w stolicy Litwy, w Kownie, na 92446 mieszkańców 31,48% wypowiedziało się jako Polacy, a tylko 29,92% jako Litwini i że wśród ludności katolickiej Kowna Polacy stanowią 51,37%.

Rok 1928 przyniósł dwie świetne i źródłowe prace, doskonale się uzupełniające. Jako III tom „Materiałów” Wilbi wyszła „Litwa etnograficzna” Władysława Wielhorskiego, który wybija się na czoło naukowych badaczy Litwy dzisiejszej. Pod tytułem „Litwa. Zarys stosunków gospodarczych” wydał tygodnik „Przemysł i Handel” obszerne studjum Stefana Starzyńskiego. Książka Wielhorskiego ma podtytuł: „Przyroda jako podstawa gospodarcza. Rozwój stosunków narodowościowych” i składa się z dwóch części. W pierwszej przedstawia autor wszechstronnie fizjografię Litwy, uzasadnia jej jednolitość pod wielu względami, a dzięki znajomości nie tylko całej istniejącej literatury, ale i rzeczywistego życia wsi żmudzkiej wyciąga z danych fizjograficznych pewne wnioski. Zdaniem Wielhorskiego trudne dla wegetacji warunki temperatury,

opadów atmosferycznych, insolacji, wielkie zapotrzebowanie gleby w fosfor i potas, wyższość plonów roślin pastewnych nad zbożowymi, zdaje się kierować rolnictwo Litwy Kowieńskiej w kierunku przewagi gospodarstwa hodowlanego nad zbożowym.

W drugiej części, zatytułowanej „Etnografia Litwy” Wielhorski niejako nawiązuje zerkaną w połowie XIX w. nic z naszą dawną literaturą o Litwie. Znajomość kraju pozwoliła mu na tak piękne przedstawienie psychicznych i fizycznych właściwości narodu litewskiego, jakiegośmy dotychczas nie mieli. Jakim wpływem naród ten ulegał, jak się zmieniały granice jego zasięgu, jak się ustosunkowywał do narodu polskiego w ciągu wieków współzycia, jak się odrodził kulturalnie i jak stworzył własne państwo, jak w państwie tem układają się obecnie stosunki ludnościowe, — na wszystkie te pytania znajdujemy w dziele Wielhorskiego taką odpowiedź, na jaką powinno było stać naukę polską.

Poznawszy dzięki Wielhorskiemu przyrodę i ludność Litwy, pragnie czytelnik polski zaznajomienia z jej gospodarczym życiem. Doskonały ich obraz roztacza przed nami Stefan Starzyński. Oparł się o kilka wyczerpujących współczesnych dzieł niemieckich i — przede wszystkim — o oficjalne ekonomiczne i statystyczne wydawnictwa litewskie. Ścisła analiza produkcyjnego i handlowego rynku litewskiego, wywozu i przywozu, stanu finansów państwowych i prywatnych doprowadza do następującego wyniku: brak kapitałów, daleko posunięta gospodarka rabunkowa w zakresie produktów eksportowych i do ostateczności dochodzące oszczędności w imporcie nawet inwestycyjnym utrzymują bilans handlowy w równowadze, nie rokuje to jednak państwu litewskiemu wielkiego rozwoju, a raczej wegetację. Wymienne stosunki polsko-litewskie są przez Starzyńskiego specjalnie szczegółowo

potraktowane; skąpe są one dzisiaj, ale wszystkie warunki naturalne i gospodarcze składają się na to, że się one rozwinać muszą nie w normalne tylko, ale w najbliższe — ku pożytecznemu rozwojowi obu narodów.

Z obu prac: Wielhorskiego i Starzyńskiego wynika, jak wielki był i jest kulturalny wkład Polski na Litwie. Pomimo „splendid isolation” Litwy dzisiejszej i jej brutalnego stosunku do wszystkiego, co polskie, — dla nauki polskiej, wszystko, co litewskie, zamiast stać się obcem, pozostało tem, czem przez wieki było. Nowy mieliśmy tego przykład, gdy Międzynarodowa Komisja mapy geobotanicznej Europy zleciła wykonanie odcinka Litwy Polakowi, prof. Sław. Miklaszewskiemu, który też mapę taką sporządził (w skali 1 : 500.000) i przedstawił na odbytem w Waszyngtonie w 1927 r. posiedzeniu Komisji. Nikogo nie dziwiło, że to dzieło nie Litwina, ale Polaka, podobnie jak nikogo nie dziwi, że komentarz do tej mapy — pióra prof. Miklaszewskiego — pojawił się nie w litewskim, ale w polskim czasopiśmie „Doświadczałnictwo rolnicze” (t. III z r. 1927). W dwóch niezależnych od siebie, ale uzupełniających się wzajemnie dziełach Wielhorski i Starzyński dali dowód, z jakim umiłowaniem nauka polska nie przestaje ogarniać problemów Litwy współczesnej. To umiłowanie — to nowa i najlepsza gwarancja, że prawdę powiedziała poetka polska, pochodząca z Litwy, Kazimiera Włakowiczówna, przysięgając Matce Boskiej Ostrobramskiej:

„A jeśli wrócisz dom nam,
jeśli nas, smętnych tułaczy,
w litewskie twoje włości
wprowadzić z powrotem raczysz.
...nie będzie tam ni człowiek ni kłos
przy nas tępa przemocą łamany
...nie damy litewskiego zwyczaju
ni języka na pośmiewisko.
.. nie dopuścimy w kościele
ni w szkołach ni w urzędach ucisku”.

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pomnik Powstańców 1863 r. w Piotrkowie. W pierwszych latach wojny światowej, kiedy zaledwie kruszyć się poczęły kajdany wiekowej niewoli naszej, już w r. 1918 powstała wśród miejscowego Tow. Krajoznawczego myśl spłacenia długu wdzięczności bohaterom wolności, pomordowanym w okrutny sposób pod miastem w 1863 — 4 r. Aby chwalebna pamięć przekazać przyszłym pokoleniom, założył Komitet, w lutym 1925 r., wydał płomienną odezwę do społeczeństwa, nawołując — „aby męczeńskie te szczątki odszukać, wydo-

być, przenieść na poświęconą ziemię cmentarną i postawić Im pomnik czci i wdzięczności”.

I oto na skutek tego, napływać zaczęły składki pieniężne, istny „grosz wdowi” Zubożonego przez wojnę społeczeństwa, tem więc cenniejsza ofiara złożona na ołtarzu Ojczyzny.

Młodzież szkół średnich, dla powiększenia funduszy, urządziła dwukrotnie okolicznościowe wieczornice z dochodem 618 zł. 27 gr. Zbiórka uliczna dała 598 zł. 10 gr., Zgromadzenie Kupców ofiarowało 100 zł., resztę do wysokości 4619 zł. 62 gr. dopełniły drobne dary.



Ryc. 57. *Fot. Wacław R. Witanowski.*
Piotrków Trybunalski. Pomnik powstańców z 1863 r.

Niezwłocznie przystąpiono do zakładania fundamentów pod pomnik, na wyniosłym terenie wschodnim Nowego Cmentarza, według planu p. inż. Fr. Hilchena, członka Zarządu T-wa. O rozmiarach ich można mieć pojęcie, choćby rzuciwszy okiem na wielkość podstawy, która wynosi 39,81 metr. sześciennych. Na tak silnym fundamencie ułożono piramidalnie trzy olbrzymie głązy narzutowe, w ich pierwotnym kształcie (wagi około 7.000 kg. każdy), a do ich dźwignięcia musiano ustawić specjalne rusztowania z belek, wypożyczonych od Komitetu Odbudowy Zamku. Na samym szczycie utkwiono wielki, bo trzymetrowy krzyż żelazny, a pod nim wryto na kamieniu, krótki, lecz jakże wiele mówiący napis — „Powstańcom 1863 r”. Całość monumentu wynosząca do 7 m. wysokości, otoczona pięciu stopniami, pomiędzy którymi z frontu leży płyta granitowa, stanowiąca wejście do grobu. Na niej czytamy słowa:

„Tu spoczywają straceni w Piotrkowie:
Ks. Kanonik Ignacy Mosiński, Proboszcz
z Dmenina,

Dowódca Oddziału Błęszyński-Malczewski,
Oficerowie: Władysław Rudowski, Gromejko
i Józef Grekowicz,
Chorążowie: Antoni Udymowski, Frąćewicz,
Rzęśniak i Rakowski.
Uczeń Kazimierz Stawecki.

Włościanin Franciszek Bartłomiejczyk.
Wieczna cześć Ich pamięci, bo chwalebne
jest zginąć za Ojczyznę”.

Poświęcenie pomnika tego i złożenie u jego stóp zwłok bohaterów, odbyło się na jesieni 1928 r. Już w sobotę, dnia 20 paźdz. rozpoczęła się jedna z tych niezwykłych uroczystości, do których uczestnicy przystępują z nabożnie bijącym sercem, z duszą rozdzwonioną na najwyższy ton. Uczuciom tym dały wyraz zarówno piękne i wzniosłe mowy, jak liczny zjazd najrozmaitszych delegacji oraz nieprzeliczone tłumy piotrkowskiej publiczności, która wzięła gorący udział w tem święcie narodowym.

Wczesnym rankiem, wobec gromadzących się przedstawicieli społeczeństwa, rozpoczęło się odkopywanie szczątków pomordowanych w 1863 r. obrońców wolności, na polu Ich kaźni za miastem. Należy tu zaznaczyć piękny odruch robotników Zakładu Kamieniarskiego p. Karbowskiego, którzy samorzutnie zgłosili się do Komitetu, prosząc, aby im pozwolono dostąpić zaszczytu odkopywania prochów wielkich patriotów.

Wkrótce oczom zgromadzonych ukazały się wśród rozoranej ziemi bielejące kości i na ten widok obnażyły się głowy. Szczątki złożono w pięciu trumienkach ofiarowanych przez cech stolarzy, których wieka udekorowali skauci zielenią, oraz godłami powstańców: skrzyżowanymi szablami i rogatywkami.

Wojsko sformowało czworobok, a orkiestra odegrała marsz żałobny i pochyliły się sztandary. I nad prochami powstańców zakołysała się znowu ich chorągiew z 1863 r., pod której znakiem szli na bój żołnierze gen. Kurowskiego, przechowywana w Muzeum na Zamku Piotrkowskim, a wydobyta na tę uroczystość. W imieniu Tow. Krajoznawczego przemówił prof. J. Tokarski, członek Zarządu Oddziału naszego, poczem wyruszył olbrzymi pochód ku miastu.

Tam, w prastarej Farze, przybranej w zieleni, na katafalku spowitym w purpurę i sztandary, ustawiono białe trumny, po dwie na bocznych stopniach, u góry piąta z prochami ks. Mosińskiego i emblematami Jego kapłaństwa. Na straży honorowej, stanęli oficerowie tutejszego garnizonu z obnażonymi szablami. I podłyneły od wszystkich ołtarzy błagalne modły, o spokój dusz męczenników wolności.

Nazajutrz, w niedzielę po południu, wyruszył od Farv niezwykły pochód, rozpoczynający się narutysiącami młodzieży szkolnej, zmierzającej ku Nowemu Cmentarzowi. Za wojskiem ze sztandarem i orkiestrą szli strzelcy, policja państwowa, straż więzienna i ogniowa, leśnicy, cechy rzemieślnicze, kolejarze ze swymi cho-

ragwiami i orkiestrą, kilkadziesiąt delegacji z wieńcami, a wśród nich wyróżniał się cieniowy wieniec z jarzębiną Tow. Krajoznawczego, a dalej zastępy harcerek z Piotrkowa, Tomaszowa, Milejowa i in. niezliczona moc kółek rolniczych młodzieży wiejskiej, stowarzyszeń etc. Za licznym duchowieństwem, świeckim i zakonnym z J. E. ks. biskupem Tomczakiem, niesiono na marach pięć symbolicznych trumien: duchowieństwa—podtrzymywaną przez kapłanów; wojska—konwojowaną przez żołnierzy; ziemian—w otoczeniu sokołów; włóścian—pod strażą kosynierów w sukmanach, młodzieży wreszcie—pod opieką harcerzy. Za trumnami swych towarzyszywoju, postępowali weterani ze swym sztandarem 1863 r., miejscowi: pp. Walenty Koleczko, Adam Wojciechowski i Franciszek Pajewski, oraz weterani delegacji z Warszawy, ze swym vice-prezesem Antonim Strzałeckim na czele.

Niezliczony tłum, dochodzący do kilkudziesięciu tysięcy ludzi, towarzyszył temu bardziej tryumfalnemu niż żałobnemu pochodowi, przez zatłoczone ulice miasta, przy dźwiękach wszystkich dzwonów Piotrkowa.

Był już mrok wieczorny, rozjaśniony nieco blaskiem księżyca, gdy po wielu pożegnalnych przemówieniach, przy huku salwy karabinowej, opuszczano trumny do grobu.

M. R. Witanowski.

Akademja ku czci ś. p. Stanisława Noakowskiego. Dnia 23 lutego w auli Politechniki odbyła się uroczysta Akademja ku czci ś. p. prof. Stanisława Noakowskiego, zorganizowana przez Rektora. Senat Akademicki i Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej w porozumieniu z szeregiem towarzystw, między którymi nie brakło i P. T. Krajoznawczego.

Zagał Akademję J. M. Rektor Prof. W. Świętosławski. Nie wchodząc w ocenę wyjątkowych zasług zmarłego w dziedzinie sztuki, w gorących słowach przemówił, „jako przeciętny słuchacz jego licznych odczytów” wyrażając przeświadczenie, że przyjdzie z czasem coraz żywsze, głębsze przyswojenie sobie przez nasze społeczeństwo głębokiej i nieprzemijającej wartości tych niezapomnianych wykładów. „Noakowski nie umarł!” — kończył mówca — „odeszło jego schorzałe ciało, duch pozostał. Tysiączne szkice w Polsce i zagranicą rozstawią imię Jego. Noakowski żyje w swych dziełach i uczy czcić piękno w najwznioślejszej jego postaci”.

Prof. Lalewicz przedstawił Noakowskiego w rozwoju twórczym: od wczesnego dziecięctwa, przez wszystkie fazy kształtowania się Jego artystycznej wrażliwości i sztuki opanowania formy, w jakiej się wypowiadał. W r. 1889 jako profesor historii sztuki i kustosz Muzeum

Stroganowa zaczyna tworzyć owe cykle szkiców, w których dopełnia niewypowiedziane słowa rysunkiem. Rzuca przed oczy słuchaczy legendę architektury rosyjskiej. Zdiera z budynków szatę wieków późniejszych i narzuca na nie te formy, które były, mogły być. Tak powstają Kremle Smoleńska, Jarosława, Nowogrodu, Moskwy. Podróż po Rosji w r. 1902 ukazuje mu Rosję po-Piotrową o dwojakim obliczu. Sam mawiał, że gmachy Petersburga i Moskwy zrobiły na nim „piorunujące wrażenie”. Przeciwestawia w szkicach te dwa światy: Europy i Wschodu. Oto pierwszy okres twórczości — okres linearny, związany ze szkołą akademicką. Jako uznany artysta, otoczony elitą umysłową i artystyczną Rosji, rozszerza swą twórczość, dzięki podróżom zagranicznym. Od r. 1905 zwiedza kolejno: Szwecję i Danję, Grecję, Francję i Niemcy, Włochy, Belgię, i znów Francję. Tworzy wtedy w formie mniej linearnej, więcej rozlewnej. Jednak napięcie kulminacyjne przychodzi dopiero na okres Warszawski.

Serdecznym wzruszeniem dźwięczały słowa przedstawiciela młodzieży, p. Zdz. Rossochackiego, obrazujące stosunek zmarłego do słuchaczy i uczucie, jakim Go oni otaczali.

Ostatni mówca p. Cz. Olszewski dał ilustrowany bogato przezroczami odczyt o twórczości Artysty, Malarza, Architekta, przez którego rysunki, akwarele i szkice przesunęła się wizja biblijnego wschodu, Egiptu, Chaldei, Assyrii, Babilonu, Persji, Fenicji, klasycznej Grecji i Rzymu, mrocznego średniowiecza i tak różnorodnej, bogatej, świetnej sztuki czasów nowożytnych.

Z treści przemówień wyłoniła się twórczość Noakowskiego, tak niezwykle nietylko na polskiej glebie, gdzie poczucie architektury drobnymi płynnie strumykami.

Żaden jednak z mówców nie nadmienił, jak słaby oddźwięk znajdowały problemy architektoniczne w Polsce, przed pojawieniem się Noakowskiego. Kto był świadkiem jego pierwszych wykładów na Politechnice Warszawskiej, w której murach znaleźli się uczniowie prawie wszystkich uczelni europejskich, mógł się przekonać, że stały się one rewelacją nietylko dla młodzieży, lecz i dla profesorów. Wkrótce rozeszła się po mieście wieść, że jest w Warszawie wirtuoz architektury, człowiek który zmienia suchy wykład profesorski w coś, czego Warszawa dotychczas nie miała. Z pulpitów zniknęły notatniki, a słuchacze z zapartym oddechem wpatrzyli w czarna tablice, śledzili jak ten wielki, dobrotliwy a nieśmiały człowiek, wczarowywał kawałkiem kredy cudowną wizję Historji. A potem Noakowski wyszedł poza mury uczelni. Ile-

kroć afisz zapowiedział Jego pojawienie się na mównicy, salę zapełniały tłumy publiczności. Zarówno tej najwykwintniejszej, której podobno nic nie imponuje, jak i tej szarej, biednej, którą On najbardziej kochał. I najzacieklejszy sceptyk musiał przyznać, że Warszawa czuje i potrafi reagować serdecznie na

piękno. Tylko trzeba jej to piękno dać. Dawał je też nam szczerze a dobrotliwie Stanisław Noakowski. I w tem leży jak sądzą Jego największa zasługa: że chciał i umiał odłonić te strony naszej duszy, których sami dotąd nieznaliśmy.

Lech Niemojewski.

Z PIŚMIENICTWA.

Wojciech Byczek: Zamek Odrzykoński z przedmową Jana Pelczara i 2 rysunkami w tekście. Jasto 1928. Str. 40.

W skromnej tej broszurze autor na podstawie materiałów, przeważnie zaczerpniętych ze starych kronik OO. Franciszkanów w Krośnie, przedstawia z wielkiem umiłowaniem przedmiotu dzieje zamku w Odrzykoniu (Kamieńcu) pod Krosnem. Myślą przewodnią autora była niewątpliwie chęć zwrócenia tą drogą uwagi społeczeństwa na szybko upadające ruiny Odrzykonia i zachęcenie do zaopiekowania się tą cenną pamiątką naszej przeszłości.

W. F.

Szafer W. Sprawozdanie z działalności Państwowej Rady Ochrony Przyrody w ro-

ku 1928. Państwowa Rada Ochrony Przyrody № 17. W sprawozdaniu tem prof. Szafer przedstawia: organizację Rady i jej Organów, pracę ustawodawczą, gdzie dowiadujemy się, że projekt ustawy o ochronie przyrody „ma już w tej chwili za sobą opinię pełnej Komisji Kodyfikacyjnej i niebawem będzie przedmiotem rozważań rządu oraz ciał ustawodawczych”, współpracę z Ministerstwami i z Władzami państwowymi innych instancji oraz stosunki z zagranicą, wreszcie ochronę przyrody w roku 1928, kwestję inwentarza, działalność biura i budżet. Najdonioślejszym faktem dla ochrony przyrody jest wykupno Piecin przez Ministerstwo Rolnictwa i stworzenie Parku Narodowego, jednego z piękniejszych w Europie.

J. K.

SPRAWY TOWARZYSTWA.

Oddział w Grudziądzu ma członków 46, budżet 3694 zł. 15 gr. Prezesem jest ks. Władysław Łęga, Sekretarzem kpt. Dominik Binder. Praca Oddziału b. intensywna, rzec trzeba i rekordowa: odczytów 27 dla 4795 słuchaczy, wycieczek 29 dla 1149 osób, zbiory zwiedziło 2194 osoby. Pracują przy Oddziale 4 Koła Krajoznawcze Młodzieży, ze schroniska korzystało 326 osób. Pracę odczytową prowadzi Oddział nietylko w Grudziądzu, lecz i w To-

runiu, Pelplinie, urzędują wykłady w koszarach 64 p. p. i w seminarjum nauczycielskiem. Wycieczki robiono na miejscu do fabryk, a dalsze do Warszawy, Wilna, Lwowa, Krakowa, Torunia, Brodnicy, Ciechocinka, Gdyni, Tucholi.

Nie wszystkie jeszcze Oddziały nadesłały swe sprawozdania roczne, ale należy przypuszczać, że Grudziądz zwycięży wszystkie swą energiczną, wzorową akcją krajoznawczą.

Przypominamy o odnowieniu prenumeraty za I kwartał 1929 roku.

TREŚĆ: *Kazimiera Zawistowicz:* Z wędrówki po południowo-zachodnich krajach podkarpackich. II. Spisz, Liptów i Słowaczyna zachodnia. — *Archiwum etnograficzne* pod redakcją prof. dr. E. Frankowskiego. — *Juljusz Zborowski:* Z opowiadań i przeżyć Bartusia Obrochty. — *Wacław Olszewicz:* Litwa Kowieńska w polskiej literaturze naukowej. — Z kraju i ze świata. — Z piśmiennictwa. — Sprawy Towarzystwa. — **Dodatek:** Wiadomości Konserwatorskie *Nikodem Pajzderski:* Renowacja katedry w Chełmie.

Cena niniejszego zeszytu zł. 1.40

Redakcja i Administracja w Warszawie, ul. Karowa 31, tel. 42-50.

Redaktorka: Dr. Regina Danysz-Fleszarowa. Wydawca: Polskie Towarzystwo Krajoznawcze.

Druk. Jan Świątowski i S-ka, Warszawa, Kopernika 34. Tel. 407-50.